# NIEDZIELA

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA LUDU POLSKIEGO W AMERYCE.

Nr. 32. DETROIT, MICH., 10-go KWIETNIA 1892 ROKU. ROK 1.

**Redaktor. Ks. Dr. Mieczysław Barabasz.**


**KALENDARZYK TYGODNIOWY.**

| | | | |
|---|---|---|---|
| 10 | Kwietn. | N. | Ezechiela pror. |
| 11 | ,, | P. | Leona pap. |
| 12 | ,, | W | Juljusza pap. |
| 13 | ,, | Ś. | Hermenegilda m. |
| 14 | ,, | C. | Waleryana m. |
| 15 | ,, | P. | Krescentego |
| 16 | ,, | S. | Lamberta m. |

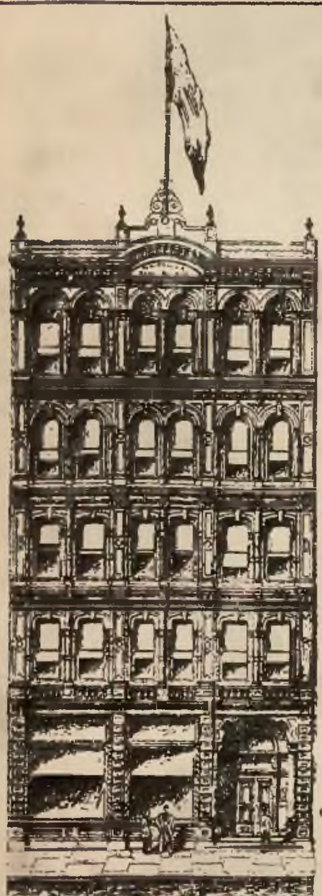

**Listy i przedpłatę**
WYSYŁAĆ NALEŻY POD ADRESEM:
The Polish Weekly
„NIEDZIELA"
DETROIT, MICH.
POLISH SEMINARY,
Cor. St. Aubin and Garfield Ave's.

**PRZEDPŁATA WYNOSI:**

| | Rocznie | Półr. | Kwart. |
|---|---|---|---|
| W Stanach Zjedn. | $ 2.00 | $ 1.00 | 50 c. |
| W Austryi. | 5 złr. | 2.50złr. | 1.25. |
| W Niemczech. | 10 mk. | 5 mk. | 2.50. |

Rękopisów drobniejszych Redakcya nie zwraca.


## MATKI! OJCOWIE!
## MÓWCIE Z DZIEĆMI PO POLSKU!!!

**PENINSULAR SAVINGS BANK**
BANK OSZCZĘDNOŚCI.

| | |
|---|---|
| Kapitał | $500,000 |
| Akcyonar. fund. | $500,000 |
| Zabezpie. dep. | $1,000,000 |

| | |
|---|---|
| Alex. Chapoton Jr. | Prezydent, |
| Jan M. Dwyer, | Wice-prez. |
| Józef Perrien, | 2 Wice-prez. |
| Józef B. Moore, | Kasyer. |
| J. H. Jonson, | Pomocnik Kas. |

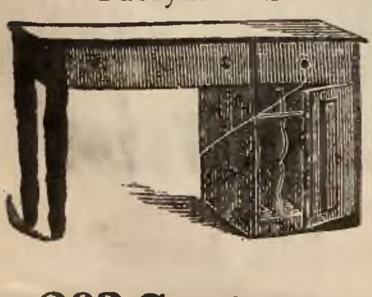
Od pieniędzy złożonych w banku płacimy procent 4 od sta.

Przyjmujemy depozyty i załatwiamy interesa pieniężne wszelkich Bractw, Towarzystw, Klubów, Organizacyi. Przyjdź do nas i wejdź w interesa.

**Józef B. Moore.**

Bank jest przy ulicy Griswold No 94 Detroit, Mich.

**JAN BRUSHABER.**
Fabryka i Skład Mebli oraz Pościeli.



Meble do pokoi bawialnych, jadalnych i sypialnych w wielkim wyborze i po najtańszej cenie.

| | | |
|---|---|---|
| Szafy od | $6,00 | i wyżej |
| Biurka " | $5,00 | i " |
| Łóżka " | $2,00 | i " |
| Rockers | $1,00 | i " |
| Krzesła | 40c. | i " |

**263 Gratiot Ave,** Detroit, Mich.

# NA CZAS WIELKIEGO POSTU

**Drukarnia „Niedzieli" przygotowała znaczny zapas następujących książek:**

1. **Narzędzia i Miejsca Męki Pańskiej** 40c.
2. **Nawiedzenie Przenajświętszego Sakramentu** 40c.
3. **Stacye drogi Krzyżowej błog. Leonarda z Porto Mauricio** 10c.
4. **Stacye Franciszkańskie** 10c.
5. **Gorzkie Żale** 5c.

Biorącym w większej ilości ustępuje się stósowny rabat.

**Zapowiadany już dawniej**

# KALENDARZ POLSKO-KATOLICKI

**na rok przestępny**

# 1892.

**opuścił prasę i jest do nabycia w Administracyi „Niedzieli"**
**Cena 25 centów.**

# OD REDAKCYI

☞ Przedpłatę na „Niedzielę" i dokładne adresy wysyłać należy do Seminaryum Polskiego w Detroit, pisząc:

**Office of „NIEDZIELA"**
**Polish Seminary.**
**DETROIT, MICH.**

☞ Piszcie, o ile można, czytelnie. ☜

Łaskawego pośrednictwa w odebraniu przedpłaty na „Niedzielę" podjęli się następujący panowie:

W Detroit, Mich., Pan Władysław Maior, 781 St. Aubin Ave.
„ „ „ Jan Lemke, 823 St. Aubin Ave.
„ „ „ J. Piotrowski, 302 Canfield Ave. E.
„ „ „ Michał Pranga, 101 St. Joseph St.
„ „ „ Wojciech Siwa, 724 Riopelle St.
„ „ „ Emil Makowski, 790 Dubois St.
Milwaukee, Wis., „ M. Szarzynski, 414 Mitchell Ave.
E. Saginaw, Mich. „ Ignacy Poplewski.
„ „ „ „ Franc Mordec, Perkins St.
Lemont, Ill. „ Piotr Maday.
Elmira, N. Y. „ M. Budzikowski, 266 W. Hudson St.
Chicago, Ill. „ Adam Majewski, 664 Noble St.
Cleveland, Ohio, „ J. Malkowski, Woodland Cem. Office.
South Bend, Ind., „ Michał Duszyński, 1501 Fisher St.
Posen, Mich., „ Albert Klimaszewski.
Baltimore, Md., „ I. K. Zanto, 817 St. Ann St.
Buffalo, N. Y., „ A. Nowak, 1210 i 1212 Broadway St.
„ „ „ „ Antoni Chajewski, 39 Townsend St.
Williamsbridge, N.Y., „ Franciszek S. Jarmuż.
W Duluth, Minn. „ Ignacy Idziorek, 1 W. Superior St.
„ Bay City, Mich. „ Michał Wojciechowski, 19th & Farragut
Grand Rapids, „ „ W. Dzieniszewski, 123 Jefferson St.

☞ Ktoby życzył sobie w innych Stanach i Miastach podjąć się łaskawego pośrednictwa i bratniej usługi w tym względzie — niech raczy zgłosić się do Redakcyi listownie.

---

## CZAS KOLEJOWY.

Wszystkie pociągi odchodzą według czasu kolejowego (standard time) t. j. 28 minut później niż czas Detroicki.

DETROIT, LANSING & NORTHERN KOLEJ ŻELAZNA. Stacya w Detroit przy końcu ul. Trzeciej.

Trzy eleganckie pociągi do Grand Rapids i nazad codziennie wyjąwszy niedzieli. Pięć pociągów Expresowych do Lansing iz powrotem codziennie wyjąwszy niedzieli. Wychodzą z Detroit rano o godz. 7.00—10.55. Po południu o g. 1.15; 4.50; 5.40—łącza się na Union Depot w Grand Rapids z Koleją CHICAGO & WEST MICHIGAN.

Pociągi z Grand Rapids odjeżdżaja do Chicago rano o g. 9.00 w południe o g. 12.05 i o g. 11.35 w nocy.—Czas podróży 5 godzin i 15 minut. Pociąg odchodzący z Grand Rapids o godz. 11.35 w nocy codziennie ma bez zmiany wagony sypialne, które przychodzą do Chicago o godz. 7.05 rano.

Pociąg wychodzący z Detroit o g. 1.15 po poł., przybywa do Grand Rapids o g. 5.15 wieczorem—zaraz się łączy z pociągiem C. & W. M. i przybywa do Manistee o g. 10.22 w nocy—do Traverce City o g. 10.59 w nocy—do Elk Rapids o g. 11,59 w nocy; do Holland przybywa o g. 6.25 po poł.; a do Muskegon o 7.35 wieczorem.

SAGINAW VALLEY & ST. LOUIS jest najkrótszą linią pomiędzy Grand Rapids i Saginaw. Pociągi odjeżdżają z Grand Rapids o g. 7.05 rano i o 4.15 po poł. Odchodzą z East Saginaw o g. 7.35 rano i o 5.55 po poł. Podróż trwa 4 g. i 15 m.

W. M. A GAVETT Agent Generalny w Detroit. Bióro biletów (Ticket Office) i towarowe znajduje się w gmachu zwanym Hammond Building—na dole numer 120 przy ul. Griswold—inne wejście jest także od ul. Fort. Telefon 368.

CHAS. M. HEALD, Gen. Mgr. w Grand Rapids.
GEO. DeHAVEN, Gen. Pass. Agent w Grand Rapids.


**DESKI**

Tanie miejsce w Detroit do kupienia Łatek, Desek i różnego rodzaju Drzwi, Okna, Okiennic i t. p. jest u

**G. W. Larkins & Co.**

643 do 647 Gratiot Ave. Blisko Dubois ulicy.
Zgłoś się do nas, pierwej nim gdzieindziej pójdziesz.

---

**WILLIAM ULRICH**
**Zegarmistrz i Jubiler.**



Wielki wybór zegarków Złotych i Srebrnych wszelkiego gatunku.

Piękne i gustowne towary złotnicze w wielkim wyborze

Zegary stojące po najtańszych cenach z piśmienną gwarancyą.
Skład otwarty do 10 godz. wieczór.

**322 Gratiot Ave.**, Detroit, Mich.
Naprzeciw browaru Stroh.

---

**FR. X. PETZ,** Skład ZEGARÓW, ZEGARKÓW I JUBILERSKICH przedmiotów. Pierścionki ślubne tanio i we wielkim wyborze. Wszelkie reperacye wykonuje tanio i prędko.

466 GRATIOT AVE. DETROIT.

---

**Peoples' Savings Bank.**
**Bank Oszczędności.**




Kapital $500,000.
Nadwyżki $125,000.
Depozyta $6,000,000.

Od pieniędzy złożonych płaciny procent 4 od sta.

Wypożycza pieniądze na wszelką własność ziemską.

Pośredniczy w kupnach własności ziemskiej.

M. W. O'Brien, Prezydent, J. E. Lawson, Kasyer.
T. A. Schulte, Wice-prez. R. W. Smylie, Audytor.

Bank jest na rogu ulic Griswold i Fort w Detroit.

---

**Najtańsza i najwygodniejsza okrętowa linija**
**do odbywania podróży**
**z EUROPY DO AMERYKI**

a szczególniej dla tych co z konieczności podróżować muszą bez paszportów.

Wszelkich wiadomości udziela i sprzedaje bilety na każdą inną linię Agent

**ADAM MAJEWSKI,**
**664 Noble str Chicago Ill.**

☞ Sprzedaje także w Chicago loty od 200 do $700 na wypłatę miesięczną.

---

**BRACIA FR. I M. PIOTROWSCY**
utrzymują
**SKLEP Z OBUWIEM**
dla mężczyzn, kobiet i dzieci
**811 St. Aubin Ave.**
Reperacye wykonują szybko i po najtańszych cenach.

# NIEDZIELA

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA LUDU POLSKIEGO W AMERYCE.

Nr. 32. DETROIT, MICH., 10-go KWIETNIA 1892 ROKU. ROK 1.

Redaktor. Ks. Dr. Mieczysław Barabasz.



WJAZD JEZUSA DO JEROZOLIMY.

## NA POMOC!

Podając na str.342 w numerze 29 ,,Niedzieli'' rzewny obrazek naszych Braci ,,Unitów'' — hen, tam za morzem nielitośnie i wciąż przez moskali męczonych, zanosiliśmy stąd imieniem tych nieszczęśliwych gorącą do Was prośbę o pomoc. Dziś powtarzamy ją raz czwarty—w nadziei, że nie napróżno prosić za nich będziemy.

Bracia! Tysiące biednych rodzin, porwanych z Polski na Sybir, jęczą tam nieustannie; jedni w ciemne wrzuceni podziemia, zamierają ze znoju i pracy— inni błąkają się po zimnej, jak moskal, pustyni — bez odzieży, bez chleba, bez nadziei nawet.... Czyż się nie ulituje serce Wasze nąd nimi nie udzieli pomocy?

Wejdźmy w ich położenie i postawmy się, choć na chwilę w ich miejscu.

Mężu, cobyś, powiedz, uczynił, gdyby Ci moskal porwał żonę na Sybir i rozłączył na zawsze? gdyby ta biedna żona Twoja umierała tam z głodu i zimna, a Ty wiedział o tem?....

Żono, cobyś uczyniła, powiedz, gdyby Ci tyran okuł męża w kajdany i zabrał go z domu, w daleką obczyznę, na męki? gdyby Cię samą tak zostawił z dziećmi?...

Matko, cobyś uczyniła, gdyby i Ciebie odłączył Moskal od kochanej dziatwy, albo zagnał na Sybir, byś patrzała z boleścią jak Ci kona z głodu?

W tych czasach, kiedy lud rosyjski mrze głodową śmiercią — nasi Bracia, zesłani na Sybir, cierpią. najstraszniejszą nędzę. W Starym Kraju tworzą się liczne komitety, by nieść pomoc biedakom; to też sądzimy, że i Amerykańska Polonija, szczęśliwsza może od innej, nie odmówi swego grosza głodnym, ale spiesznie, ale chętnie, ujmie sobie cząstęczkę i obdarzy nią tych męczenników w Syberyi.

☞ Redakcya „Niedzieli" pośrednictwo swoje ofiaruje i otwiera listę składek, z których co tydzień kwitować w piśmie będzie. Dotąd złożyli: Z przeniesienia $ $71.00. Stanisław Górny z E. Saginaw, Mich. $1.00; Stanisław Łoziński z South Betleem, Pa. $1.00; — Razem $73.00

# Z SIEWÓW NIEDZIELNYCH.

## Jeszcze o zazdrości.

Czart uwodząc człowieka pierwszego do grzechu, obiecywał mu przez to korzyści, mówiąc: nie umrzecie, ale owszem, równemi będziecie Bogu samemu. Tak samo czyni i dotąd, obiecując za grzech honory, bogactwa, ukontentowania i rozkosze, które lubo fałszywe i prędko przemijające, przyjmują jednak ci, co nakłaniając ucha na podszepty czartowskie, na grzech się odważają. Lichwiarz cieszy się widokiem nazbieranych pieniędzy; pyszny, cieszy się z tego, że się może nad innych wynosić; leniwy w tem znajduje ukontentowanie, że gdy inni pracują, on może się przewracać z boku na bok; ten, co niedoświadczonego oszukał, sprzedając mu złe ziarno, kaleczne bydlę albo niezdrowego konia, cieszy się, że za zły towar przecie dostał pieniądze i t. p.; słowem: we wszystkich występkach, które ludzie popełniają, szukać zwykli jakiejś rozkoszy, jakiejś korzyści.— Zazdrość zaś, nietylko że żadnej nie przynosi zazdrosnemu korzyści, ale nadto sama karze zazdrosnego, stając się dla niego nader szkodliwą. Zazdrość bowiem, dzień i noc nie przestaje trapić zazdrosnego, ona go ze snu budzi, gdziekolwiek stąpi, idzie za nim, dręczy oczy i serce jego, tak dalece, iż śmiało mówić można, że człowiek zazdrosny, ciągle jest nieszczęśliwy, a sam grzech jest karą jego.

Zazdrość sprawia temu, kto ją przechowuje, niespokój, bezsenne noce i udręczenie.

Bóg zsyła ludzi i różne okoliczności ku udręczeniu i zawstydzeniu zazdrosnego człowieka. Już mędrzec pogański imieniem Teofrastus często powtarzał: że ludzi zazdrosnych uważa między wszystkimi za najnieszczęśliwszych; ci bowiem cierpią utrapienia nietylko z własnych dolegliwości, ale nawet dobrem bliźnich powodzeniem dręczeni bywają. — Bóg, jak się wyżej powiedziało, zsyła ludzi i okoliczności różne na udręczenie zazdrosnego.

Posłuchajcie prawdziwego w tej mierze zdarzenia: ,,Sławny malarz i rzeźbiarz Michał Angelo, przyszedłszy z miasta Florencyi do Rzymu, wnet spostrzegł, że wielu innych malarzy a szczególniej Rafael, zazdroszczą mu jego talentu. Spostrzegłszy to, udał się do swego pomieszkania i zrobił posąg czyli statuę Bachusa. Na dole wyrył imię swoje, które jednak tak zamazał, że go wcale widać nie było; odłamawszy umyślnie jedną rękę temu posągowi i oczerniwszy go sadzami, kazał tę statuę zakopać w pewnej winnicy, gdzie wkrótce miał być dom budowany. Po upływie roku, poczęto w tem miejscu kopać fundamenta i wygrzebano ten posąg. Wszyscy sądzili, że to pochodzi z bardzo dawnych czasów i dla tego zaniesiono tę statuę jako wielką osobliwość do Ojca św. Nikt się nie domyślał, skąd ona pochodzi; zwołano wszystkich mężów uczonych, wszystkich malarzy i rzeźbiarzy, którzy jednomyślnie uwielbiali ten posąg, jako sztukę najdoskonalszą, która z bardzo dawnych czasów pochodzić miała. Sam tylko Michał Angelo innego był zdania. Stąd powstały sprzeczki, ale Rafael ciągle obstawał przy swojem zdaniu, że posąg ten zrobiony jest najdoskonalej, że wartość jego jest nieocenioną, gdyby tylko jednej ręki nie brakowało."

I sprawdziło się, że ,,kto pod drugim dołki kopie, sam w nie wpada," bo posłuchajcie co się dalej

stało. Michał Angelo kazał przynieść tę rękę, którą sam umyślnie odłamawszy, w domu zachował, starł farbę z tego miejsca, gdzie nazwisko jego było wyryte i opowiedział rzecz całą. Sami sobie myśleć możecie, jak wielce byli zawstydzeni zazdrośnicy jego. Przed niedawnym czasem wszystko w Michale Angelo ganili, a teraz tak uparcie obstawali przy tem, że znaleziona statua najdoskonalej jest zrobiona. Tak zazdrość sama się karze.

Zazdrość jest upartą i zaciętą tak dalece, że trudno znaleźć coś takiego, coby ją wstrzymać albo powściągnąć mogło. Gniewliwego i popędliwego człowieka zmiękczysz tem, jeżeli pomimo gniewu i popędliwości jego okażesz się łagodnym i cichym; ten co w piciu i jedzeniu nie umie zachować miary, może przyjść do umiarkowania przez chorobę; pychę poskramiają umartwienia i przeciwności; sama tylko nieszczęsna zazdrość, ani poskromioną, ani oddaloną być nie może, ponieważ zawsze się znajdą osoby, którym się zazdrości i dobra, których zazdroszczą. Nie bez słusznej przyczyny powiedział dla tego Salomon ,,że zazdrość jest zgnilizną zamkniętą w kościach.'' Bo jako zgniliznę trudno z kości wydobyć: tak też trudno wyprowadzić zazdrość z serca człowieka. Pismo ś. starego zakonu wspomina o wielkich zasługach Mardocheusza, które położył, odkrywając spisek przeciwko królowi; wiedział dobrze Amon o tych zasługach, a jednak starał się zgładzić go ze świata i wszystko na to łożył, aby go pozbawić godności a nawet i życia samego. Tak wielce trudną jest rzeczą poskromić zazdrość, a jeszcze trudniejszą wyrugować tę namiętność z serca, gdy już przez czas dłuższy tam panowała. Zazdrość należy do rzędu tych grzechów, o których Hiob sprawiedliwy niegdyś powiedział, że aż do szpiku przechodzą kości człowieka i że go aż do śmierci nie opuszczają, ale z nim w prochu spać będą. Wiadomo nam jest z Ewangelii, że grzech zazdrości przebywał szczególnie w sercach Faryzeuszów; pismo św. wspomina o nawróceniu celników, jawnogrzeszników, łotrów, ale nigdy nie wspomina o nawróceniu zazdrosnych Faryzeuszów. Tym sposobem widzicie, Szanowni Czytelnicy, jak wielkiem złem jest grzech zazdrości: on nietylko trapi bezustannie serce zazdrosnego, w dzień i w noc go prześladuje udręczeniem, odejmuje od niego zadowolenie i radość z tego, co posiada, ale nadto jeszcze, gdy mu ta namiętność już życie ziemskie zatruła, wprowadza go jeszcze w gotowe niebezpieczeństwa utraty wiecznego zbawienia, bo zagnieździwszy się raz w serce człowieka, rzadko kiedy go opuszcza, ale aż do śmierci w nim pozostaje.

Czyżby to nie przystało raczej na chrześcianina, który we wszystkich ludziach braci i siostry widzieć powinien, aby, dalekim będąc od wszelkiej zazdrości, żył według pisma ś., ciesząc się z wesołemi a płacząc z płaczącemi? Zaprawdę! takeśmy czynić powinni dziękując Panu Bogu, że bratu naszemu, albo siostrze naszej, tem bowiem są dla nas wszyscy ludzie, że im raczył użyczyć darów Opatrzności swojej. Nie dawajmyż więc zazdrości przystępu do duszy naszej: jeżeli zaś kto tak był nieszczęśliwym, że zazdrość wkradła się już do serca jego, ten niechaj ją wyrzuci natychmiast, bo grzech ten jest niesprawiedliwością dla bliźnich a nieszczęściem i wielce szkodliwą przywarą dla nas samych. Nigdy nie zapominajmy na to, że wszystkie dary pochodzą od Boga, bądźmy więc kontenci z tego co nam według mądrości swej użyczyć raczył, bo kto wie, coby się z nas stać mogło, gdybyśmy to wszystko posiadali, czego innym zazdrościmy? Jedna i ta sama roślina może być dla jednego lekarstwem albo przynajmniej nieszkodliwą rzeczą, bo się z nią umie obchodzić, a dla drugiego stać się może trucizną. Szanujmy więc wyroki Boskie w tem, co nam udzielić raczył, a stanie się, że na szczęście cudze, na dobre bliźniego powodzenie zazdrosnem okiem spoglądać nie będziemy. Niechaj odtąd napełnia serca nasze wzajemna chrześciańska miłość; modląc się, modlimy się także i za bliźnich naszych, życzmy im tego wszystkiego, czego sobie życzymy, prośmy Boga, aby od nich to wszystko oddalić raczył, co i nam jest niemiłe, a Bóg najwyższy, jako najlepszy i najdobrotliwszy nas wszystkich Ojciec, widząc zgodę, miłość i wzajemną między dziećmi swemi życzliwość, pobłogosławi także i nas tu na ziemi, po śmierci zaś przyjmie nas do tej chwały, w której przemieszkują ci, co serca swego nie splamili zazdrością.

---

# NA WĘZEŁ OJCZYSTY.

---

## Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI.

przez Kryst.

(Ciąg dalszy.)

Od tego czasu zacząłem szybko przychodzić do zdrowia. Doktór mój, w bliskiem miasteczku mieszkając, codziennie przyjeżdżał opatrywać moje rany, które lubo nie były niebezpieczne, ale dotkliwe.

Od niego dowiedziałem się, że jestem w domu bardzo zamożnej Pani, wdowy, której syn na wojnie a trzy córki w domu, z których najstarsza śliczna, czarnooka, Ilona ma staranie o mnie.

Pani sama zajęta bardzo była tak zarządem majątku, jak wyprawianiem do obozu żywności.

Ilona siadywała koło mnie z robotą w ręku, lub czytywała mi gazety. Rozmawialiśmy czasem długie godziny. Była więcej, jak zwykle młode osoby bywają, wykształconą. Coś nadziemskiego było w całej jej postaci. Tak była wiotką, iż zdawało się, że nachylona złamać się może.

Oczy i włosy czarne jak heban. A twarz tak przezroczysto-biała, że niebieskie żyłki krzyżujące się można było policzyć na tem obliczu anielskiej słodyczy.

Jak wchodziła do pokoju jasno robiło mi się w o.

czach, a serce tak mocno biło, że okrycie moje drżało. A ja prowadziłem zwykle najobojętniejszą z nią rozmowę, zimną, może zimniejszą, niż nawet należało w mojem położeniu, lękałem się bowiem zdradzić słowem, lub spojrzeniem uczucia, jakie Ilona we mnie wzbudzała.

Ona wszakże na mnie tak zawsze rzewnie i smutno patrzyła, jak gdyby odgadując, co się działo w mem sercu. Czasami nawet iskra radości w jej oku zabłysła, kiedy bywałem cierpki i drażliwy. Zmiany mego humoru wywoływały lekki uśmiech na jej malinowych ustach i wtenczas dwa rzędy drobniutkich perełek ukazawszy się robiły ją tak śliczną, że myślałem nieraz, iż oszaleję na tem łóżku, do którego byłem przykuty, nie mogąc ani uciec, ani spokojnie pozostać.

Mijały tak dnie szczęśliwe. Przestraszała mnie myśl wyzdrowienia, byłbym chciał wiecznie już tak pozostać.

Uważałem, że Ilona, czem byłem zdrowszy, tem dłużej siadywała przy mnie, wprowadzając tylko zawsze małe swoje rodzeństwo, 4-ro i 7-letnie siostrzyczki, z któremi się bawiłem, a które pokochały mnie serdecznie.

Robiliśmy wieńce z kwiatów.

Ilona bardzo je lubiła, a ja od tego czasu polubiłem je także. Pani sama przynosiła mi zawsze rozmaite przysmaczki. Stary lokaj obsługiwał. Cały dwór męzki, wszyscy co byli zdolni do tego, poszli na wojnę.

Zamożny to był dom bardzo. Pokój też mój pysznie był urządzony, bielizna wytworna. Wszystko w ogóle znamionowało wyższą stopę szlacheckiego dworu.

Poczciwy doktor myśląc, żem bardzo nieszczęśliwy, z radosną miną, opatrzywszy rany, mówi raz do mnie:

— Możesz Pan już wstać, przechadzka powolna, wpływ powietrza, zbawiennie podziałają na wzmocnienie jego sił i mam nadzieję, że wkrótce objawię Panu wesołą nowinę powrotu do korpusu.

Myślałem, że go zdławię za taką dobrą nowinę, musiałem się uśmiechnąć nie wesoło, gdyż on myśląc, że mu nie dowierzam, dodał:

— Ale ja Panu zaręczam za prawdę słów moich i sam oznaczę dzień odjazdu prędzej, niżeli się Pan nawet spodziewasz. Stary zna się na tem, z górą pół wieku rannych opatruje. I żal mi żem stary, już do obozu iść nie mogę.

Rozpacz mię ogarnęła na te słowa wypraktykowanego doktora, co się aż nadto poznawał na szybko polepszającem się mem zdrowiu.

Wiadomości dochodziły bardzo smutne z pola bitw. Moskali napływ był opromny, masami zalewali Węgry, obawa była wielka przewagi ich sił. Kto tylko mógł, chwytał za broń, by wzmacniać szeregi, coraz bardziej się przerzedzające.

Osłabiony jeszcze trochę, ale prawie już zdrów, dnie spędzałem w ogrodzie z Iloną i jej siostrzyczkami. Nie wymówiszy nigdy ani słowa o mem uczuciu, czułem, że magnes serca zbliża nas zawsze do siebie. Byliśmy już prawie nieodstępni.

Lecz ja nie zszedłem ani kroku z wytkniętej drogi. Raczej umrzeć, jak zakłócić niepokojem ten dom, tak mnie po macierzyńsku przyjmujący.

Matka Ilony ufała w szlachetność Polaka, zręcznie mi to przy sposobności dając uczuć, że są tylko same kobiety. Honorowy człowiek prędzej zginie, niż takie zaufanie zdradzi.

Doktór mój był dawny tego domu przyjaciel, a na teraz i opiekun.

Nie wiem czy miał jakie podejrzenie, co się w naszych sercach działo, czyli też tylko obawy, dość, że zwracał ustawicznie na nas uwagę ostatniemi dniami, mianowicie na Ilonę. Spostrzegłem nawet pewien w nim niepokój.

Wkrótce też odezwał się do mnie wesoło:

— Kochany Ułanie! już Cię wypuszczam z mojej doktorskiej opieki, jesteś zdrów, a że wiem, jak Ci spieszno wracać do szeregu, to Ci daję pozwolenie na nowo rąbać Moskali.

Dreszcz zimny mnie przebiegł, ale nie tracąc przytomności odpowiadam:

Ach! gdybyż można jednem cięciem ściąć wszystkie moskiewskie głowy, a oswobodzić Waszą i naszą Ojczyznę, oddałbym ostatnią kroplę krwi mojej. Dziękuję Ci Panie, żeś mnie jeszcze wrócił do życia i dał możność walczyć znów z nimi

Poczciwy starzec rzucił mi się ze łzami na szyję.

— Nie ma człowieka bliższego sercu Węgra jak Polak.

Pani S.... wyciągnęła ręce do mnie.

— Pamięć pobytu pańskiego nie zatrze się nigdy w naszych sercach. Cały dom nasz, życzliwy mu, wspominać Pana zawsze będzie.

Ilona zniknęła. Doktor uważałem nie spuszczał Jej z oka i za odchodzącą jeszcze patrzył badawczo. Musiał coś dojrzeć niepokojącego, bo stał bardzo zamyślony, w końcu się odezwał.

— Komu w drogę, to i czas. Jutro jadę do chorego w stronę naszego obozu, to Pana zabiorę i już na miejsce sam z Panem dojadę. A będziemy wszyscy spokojni, żeś szczęśliwie dostał się do swoich.

— Jeżeli nas kochany gość ma koniecznie już opuscić, to i ja spokojną będę, że z Panem pojedzie. Bo można w drodze będzie wypocząć, gdyby był zbytnio strudzony, a Pan masz wszędzie dobrych znajomych.

Na te słowa doktor, nie czekając dłużej, pożegnał się—z obietnicą zajechania nazajutrz o świcie po mnie.

A więc już zostałem skazanym, wyrok podpisany, nie było żadnej apelacyi,—tylko gotować się na śmierć moralną.

Porzucić moją ubóstwioną Ilonę — zdawało mi się trudne do przeżycia. Uczucia dla niej zapełniały duszę moją. Zdawało mi się, że tego nie przeniosę. Bałem się tylko jakiej katastrofy, któraby zdradzić mogła moje uczucia, bo w głowie mi się kołowało, a iskry w oczach przelatywały.

Błądziłem długo po ogrodzie, chcąc zebrać myśli, nabrać siły męzkiej w tej ostatecznej chwili. Chciałem wyjechać bez cienia zarzutu, żem nadużył mego położenia, dając poznać moje uczucia.

Zbierać się wiele nie miałem potrzeby, bo prócz munduru, w którym mnie rannego przywieziono, nic nie miałem przy sobie.

Chodziłem długo wieczorem, pasując się ze sobą. Trzeba było jednak wrócić, aby się pożegnać.

Wchodzę do małego saloniku, zastaję Ilonę samą chodzącą po pokoju, mocno wzruszoną, każda żyłka na jej delikatnej twarzy była widocznie wezbraną. Zobaczywszy mnie wchodzącego stanęła, nie wiem, czy wyczytała, co się we mnie działo, lecz dziwnie rzewnym i cichym głosem, którego zaledwie dosłyszeć mo-

głem, powiedziała mi parę słów, które więcej sercem odgadłem, niż zrozumiałem.

Że jeżeli jej niezapomnę, abym wrócił po skończonej kampanii, że jej serce dla mnie tylko bić będzie. Myślałem, że oszaleję z radości słysząc te słowa. Całowałem jej ukochane, wyciągnięte do mnie ręce — nawał uczuć cisnął się, których usta wymówić nie potrafiły.

Mówiła mi, że czekać na mnie będzie, dopóki nie wrócę.

Wrócę, odpowiedziałem, ale tylko wtenczas, jeżeli zdobędę stosowną przyszłość, którąby jej godną była.

Co tu piszę nie trwało minuty nawet, bo słyszeliśmy zdaleka już krzyk dzieci, które wpadły z płaczem dowiedziawszy się, że nazajutrz odjeżdżam. Weszła zaraz i matka, a mnie już nie pozostawało, jak powtórzyć podziękowania za jej opiekę nademną i pożegnać się.

Po macierzyńsku zrobiła krzyżyk na mem czole, dzieci całowały mnie najczulej, Ilona stojąca na uboczu podała mi drżącą rękę, którą uścisnąłem silnie, jakby dodając jej odwagi, skłoniwszy się głęboko dla pokrycia łez, które mi się cisnęły do oczów; — płynęły już one po twarzy Ilony.

Z rozpaczą w duszy, ale zarazem z błogiem uczuciem, że jestem kochany, opuściłem ten skarb mój na ziemi, a rzuciwszy jeszcze ostatnie spojrzenie udałem się do siebie.

Nie zmrużyłem oka noc całą, mając ciągle na myśli, co się wydarzyło. Jest jakaś siła wypadków, której się oprzeć żadna moc nie zdoła. Bóg mi świadkiem, że chciałem opuścić ten dom, nie zamąciwszy w nim spokoju, nie zakłóciwszy szczęścia tych ukochanych osób — a stało się jednak przeciwnie.

Kochałem Ilonę nad życie, lecz postanowiłem zamknąc tę miłość na wieki w mej piersi, bo nie mogłem nawet marzyć o przyszłości dla niej.

Zakłóciłem jednak spokój tej najdroższej istoty uczuciem dla siebie. Czyż potrafi ona znieść położenie niepewne? Szczęście Ilony zespoliło się z mojem.

Myśli te trapiły mię do rana. Ostatecznie jednak powiedziałem sobie: Ha! może obecne wypadki wyrzucą mnie tak wysoko, że odrazu silnym dębem stanę na świecie. Zerwałem się z tą myślą, aby biedz coprędzej do celu mych pragnień. Wszystko się teraz złożyło w mem sercu pospołu, krew zakipiała, chciałem się był w tej chwili rzucić na wroga.

Zszedłszy na dół zastałem zgromadzonych domowników, którzy mię bardzo przyjaźnie żegnali z nadzieją, że się Bóg wie jak dzielnie przyłożę, aby ich oswobodzić od wroga.

Doktor nadjechał — posłałem w myśli ostatnie pożegnanie Ilonie i ruszyliśmy w dość daleką drogę.

Ja byłem milczący, a poczciwy doktor może odgadywał, co się w mej biednej duszy działo.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

# O ZŁOTYCH TŁACH.

## Dziadek i wnuczka.

Pod starą lipą siadł starzec sędziwy
Pochylon laty, lecz z duszą młodziana;
Z głowy w kędziorach spływał mu włos siwy;
Przy boku stała dziewczyna rumiana,
A starzec mówił: ,,Szczęśliwy ów człowiek,
Co chętnie wspiera swych bliźnich, gdy może;
Lecz ten najszczęśliwszy, kto skrycie łzę z powiek
Biednego otrze, bo Bóg go wspomoże!''
Dziewczyna słucha, wtem naraz blednieje,
To się czerwieni, i obok usiada,
Spuści w dół oczy, zaleje się łzami...
A twarz drobnemi zakrywa rączkami.
Zdziwiony starzec zapyta powoli:
,,Wnuczko ma droga, cóż ciebie tak wzrusza,
Czyli twa główka malutka cię boli?...
Może coś cierpi niewinna twa dusza?...''
A wnuczka na to: ,,Mówiłeś mi właśnie,
Że czyn spełniony dla dobra współbraci
Świeci w skrytości, a na jawie gaśnie,
Wartość u Boga i u ludzi traci;
Przeto przyczyny obecnej rzewności
Z tego powodu oznajmić nie mogę.''
,,Nie bój się wnuczko swojej otwartości,
Odpowie starzec, odrzuć zbytnią trwogę,
Mnie możesz zwierzyć tajemnice swoje,
Ja je ze sobą do grobu sprowadzę,
A twoje serce może uspokoję,
Może tej łezce, ma wnuczko, zaradzę.''
,,Cztery lat temu, dziewczyna odpowie,
Kiedym na święto Maryi bławatki
W polu zbierała, ujrzałam przy rowie
Dziada, co zjadał okruszyn ostatki.
Podchodzę z tyłu powoli i z cicha
Spoglądam z boku na oblicze dziada,
A on spoziera ku niebu i wzdycha,
W krzyż ściąga ręce i na piersi składa,
I woła: ,,Boże! coś za moją duszę
Krew świętą przelał, zmiłuj się nademną,
Jeźli nie wesprzesz, z głodu umrzeć muszę
I wstąpię w grobu przepaść zimną—ciemną!''
Słysząc to, wzięłam z domu kilka gruszek.
Kawałek chleba, dzban mleka słodkiego,
A widząc zdala, że zasnął staruszek,
Stawiam mój datek, około śpiącego.
A tak cichutko z wszystkiem się sprawiłam,
Że nikt szelestu mych stąpań nie słyszał,
Odeszłam na bok i w żyto się skryłam,
Wtem kaszlnął starzec, wstał i ciężko dyszał.
A potem głowę pochylił na dłoni,
Spoglądnie na dół—to oczy przeciera...,



SIŁA PARY I PIERWSZY WYNALAZCA. (Obraz M. Stone.)



POWRÓT DO SWOICH. (Obraz Gustawa Sis.)

To wodzi palcem po zżółkniałej skroni,
To raz na dzbanek, to na chleb spoziera,
I klęka naraz.... żar mu w oczach płonie,
Mężnieje cały...., zalewa się łzami,
Podnosi w górę na wpół wyschłe dłonie,
I temi wreszcie przemówił słowami:
—,,O dobry Boże, skądże są te dary?
Tyś ojcze drogi wysłuchał swe dziecię,
Tyś czyjeś serce skłonił do ofiary;
Błogosław sercu temu całe życie!"
Otóż to czyn ten, ach! dziadziu mój drogi,
Wielce mnie cieszy, i modlę się szczerze,
A w duszy czuję jakiś spokój błogi,
Kiedy te dziada przypomnę pacierze".
Słysząc to dziadek, wstaje... wnuczkę ściska
Słabem ramieniem, choć ledwie niem włada,
A łza rzęsista to w oku połyska,
To na włos wnuczki, jako rosa spada.
Wtem promień słońca różowym promieniem
Otoczy starca szanowne oblicze,
Gdy szepce cicho, z duszy uniesieniem,
Błogosławieństwa jakieś tajemnicze.

## Kilka uwag z mojej podróży.

Znać, co obce, nie zawadzi,
Widzieć swoje rozum radzi.

Mając konieczną potrzebę, wyrobiłem sobie kartę na ośm dni do Królestwa Polskiego w okolicę Stobnicy. Wyszedłszy z domu przed wschodem słońca, stanąłem dość wcześnie w Szczucinie. Licha to mieścina, jak ot wszystkie nasze miasta, zamieszkałe przez żydów. Widząc, że kościół otwarty, pomyślałem wstąpić do niego. Już na cmentarzu uderzyły mnie wspaniałe sztachety dębowe na podmurowaniu z bramami i słupkami, w których są umieszczone, niby w szafeczkach zamykanych, wspaniałe stacye Męki Pańskiej. Zobaczywszy tak piękne okolenie kościoła, z tem większą ciekawością pospieszylem wewnątrz oglądać sam kościół. Wiele już w życiu mojem widziałem w różnych stronach kościołów, ale tak pięknie odnowionego kościoła nie zdarzyło mi się widzieć. Począwszy od wspaniałego sufitu z olejnymi obrazami, aż do kamiennej posadzki, wszystko tu nowe. Zobaczywszy sprzątającego sługę kościelnego, zapytałem go: ,,Czyim to kosztem ten kościół odnowiony?" ,,Pani hrabiny Husarzewskiej, kollatorki i dziedzicki Szczucina", odpowiedział kościelny. ,,Od kilkunastu lat, jak tylko kupiła Szczucin, nie przestaje wielkich robić nakładów na ten dom boży, a to, co już dotąd zrobione, kosztuje ją przeszło czterdzieści tysięcy, a jeszcze zamierza wybudować przed kościołem wieżę z zegarem." Szczęśliwa parafia, co ma taką kollatorkę, pomyślałem, i uklęknąwszy, serdeczniem się pomodlił na intencyą tak wielkiej dobrodziejki kościoła w Szczucinie.

W pół godziny już stałem na lewym brzegu Wisły pośród objeszczyków, czyli burków, jak ich lud zwykle nazywa, którzy mię odprowadzili na komorę, gdzie, obszukawszy koło mnie, jak nie przymierzając koło złodzieja, odprawili mię z szyderczem słowem: p o s t u p a j. Wyskoczywszy z owej komory jakby z piekła, szedłem dalej, jakby zimną wodą oblany. Jakiś niewypowiedziany smutek ogarnął me serce, i im bardziej oddalałem się od Wisły, tem bardziej tęskno mi było, dla tego podwajałem kroków, aby jak najprędzej znowu dostać się za Wisłę.

Załatwiwszy swoją sprawę, prawie jednym tchem stanąłem czwartego dnia znowu nad Wisłą, ale już nie w Szczucinie, ale w Opatowcu. Naczelnik komory popatrzył się na mnie od stóp do głowy, skinął na burka, który mię pod karabinem odprowadził do łódki. W kilkanaście minut odetchnąłem wolny, stanąwszy w Ujściu Jezuickiem na prawym brzegu Wisły. W Ujściu Jezuickiem wstąpiłem na komorę, gdzie załatwiwszy się w jednej chwili, wyszedłem, a zobaczywszy na prawo nad Wisłą ogromny dom murowany niby magazyn jaki, zapytałem: ,,Do czego dom ten służy? odpowiedziano mi, że to spichrz, do którego dawniej sypano zboże, a stąd ładowano na galary. Gdyby ten spichrz umiał mówić, pomyślałem sobie, opowiedziałby, ile on przechował w sobie zboża, co je galary wywiozły za granicę. Teraz stoi samotny i smutny, bo wie, że się już nie doczeka dawnych czasów, a może przewiduje swój koniec, że go rozbiorą, nim dach i wiązanie na nim do reszty zniszczeje.

Smutne myśli o minionej naszej przeszłości przerwał nagle zgrzyt kamieni pod mojemi nogami, i zwrócił moją uwagę, żem wszedł na bitą drogę, którą właśnie w tym roku Rada powiatowa dąbrowska wielkim nakładem zrobiła przez Ujście Jezuickie. Za chwilę stanąłem na wysokim wale, który otacza Wisłę i strzeże od wylewu wód.

W pół godziny przyszedłem do Gręboszowa. Wzdłuż drogi stoją białe domki przed oknami, w których szyby czysto umyte, widać ogródki z kwiatami, a wysoko po nad domki wiejskie wznosi się murowany blachą kryty kościół. Przed kościołem plac obszerny, a wśród niego figura św. Anny z Matką Bożą, z kamienia, wyższa nad dachy domów. Plebania z jednej, a szkoła murowana okazała z drugiej strony placu. Widząc to wszystko, pomyślałem sobie: ,,widać, że tu parafianie dbali o własne domy, nie zapominają o domu Bożym, i wiedzą o tem, że bez szkoły nie ma nauki, tak bardzo potrzebnej w teraźniejszych czasach, byle tylko tę naukę udzielano dziatkom w duchu bożym.

Idąc dalej ku wschodowi, mijałem jednę wioskę za drugą. Widząc wszędzie bielutkie domki wśród zarośli i ogrodów, jakby wśród zielonych wianków, pomyślałem sobie: ,,Szczęśliwi ludzie, jeżeli tylko sumienie ich tak czyste i spokojne, jak błoga ta cisza wśród tych wiosek, wśród których snuje się droga, którą postępując, zobaczyłem z dala znów kościół w Bolesławiu. Gdym tam przyszedł, zobaczyłem nowy parkan koło kościoła i nowo budującą się plebanią, tylko wieża drewniana przy kościele woła gwałtu na parafian, żeby o niej nie zapominali, inaczej to ucieknie z Bolesławia, i litości żebrać będzie u obcych parafian, żeby jej nowe sprawili odzienie.

Minąwszy Bolesław, w pół godziny zbliżyłem się do Mędrzychowa i usłyszałem z daleka na Anioł Pański. Idąc dalej, ledwiem skończył Pozdrowienie Anielskie, aliście jużem stanął przed okazałym domem, na którym wyczytałem napis: ,,Szkoła Mędrzychowska", a tuż obok szkoły zobaczyłem piękny, czysty, sztachetami obwiedziony murowany kościółek, a że mi nogi trochę pocierpły, usiadłem sobie obok kuźni, stojącej przy drodze, aby wypocząć przez południe. Posiliwszy się kawałkiem chleba z torby podróżnej, począłem drzymać. Widać, żem na chwilkę zasnął, bo,

gdym się przebudził, zobaczyłem gospodarza przy mnie stojącego, który w jakimś interesie przyszedł do kuźni. Ponieważ w kuźni nie zastał kowala, więc zacząłem z nim rozmowę. Widać, rzekłem, że tu u was porządni gospodarze, bo macie i kościółek jak widzę ładny i dom szkolny okazały.

Nie nasza to zasługa, bo ten kościółek i ten dom szkolny wyfundował swym kosztem hrabia Adam Potocki, dziedzic Mędrzychowa. Panie świeć nad jego duszą, odparł ów gospodarz.

No dobrze, to przecie gmina może utrzymuje nauczyciela, i szkołę opala? Gdzie tam, odpowiedział gospodarz, wszystek nakład jest hrabiego.

Widząc piękny dom wśród ogrodu, zapytałem tego człowieka: któż siedzi w tym domu? W tym domu, odpowiedział, mieszka lekarz.

To tu musi u was lud być bogaty, kiedy tu lekarz osiadł. Lud taki bogaty, jak i gdzieindziej. Jest lekarz we wsi, bo go teraźniejszy dziedzic, hrabia Artur Potocki sprowadził i opłaca.

A dawno ten lekarz jest tu u was, zapytałem? Ten lekarz jest tu dopiero od jesieni. Bo, jak ten, co był przed nim, pomarł, i ludziom bieda była bez doktora, tak się lud zebrał, gdy hrabia tu przyjechał, i prosił o nowego doktora. Hrabia przyrzekł ludziom i zaraz potem teraźniejszy lekarz zjechał. A jakiż był lekarz przed tym, który teraz jest, zapytałem? Przed tym był tu u nas przeszło trzydzieści lat, jeszcze za czasów nieboszczyka hrabiego Adama Potockiego, ojca teraźniejszego dziedzica, lekarz nieboszczyk Piotr Bartmann; Panie świeć nad jego duszą, ale tego roku w lecie pomarł. Jaki ta ten będzie, co teraz jest, to jeszcze nie wymiarkuje. Juźci z twarzy wydaje się na grzeczną osobę, ale mnie się widzi, że tu przez Mędrzychów już taki nie przejdzie, jak był nieboszczyk. U nas, widzicie mój sąsiedzie, bywają złe drogi. Nieboszczyk nie pytał, jaka droga, w nocy i we dnie, w zimie i w lecie siadał z fury na furę, i jechał, a nigdy nie pytał, czy chory bogaty, czy ubogi. Co mu kto dał, to wziął, i nigdy się więcej od nikogo nie dopominał. A często, jak widział, że bieda, to i lekarstwo zapłacił i choremu trochę grosza zostawił na poratunek. Jak go też Pan Bóg zabrał, to go lud nie mało żałował, a nad jego grobem płakali ludzie, jak dzieci po stracie najlepszego ojca.

No, kiedyśmy się tak rozgadali, odezwałem się znowu, to mi jeszcze powiedzcie, jaki tu u was nauczyciel.

U nas, odparł ów gospodarz, uczy dzieci ksiądz, co się nazywa Marcelli Zaręba, a siedzi tu przy szkole przeszło trzydzieści lat, o ile miarkuję.

Ho, Ho! kiedy tu u was tak dawno jest szkoła, to i lud musi być oświecony i mądry, a o pijaństwie pewno u was nikt nie posłyszy.

Gdzie tam nie posłyszy. Jak wszędzie tak i u nas jest lud rozmaity. W miastach są nie takie szkoły jak u nas, a co to tam bywa pijaków. Co pijak dba na szkołę, skoro Kościół św. nie może z nim poradzić.

A jakiż tu, zapytałem, siedzi Pan we dworze? Tu we dworze siedzi Pan Bielecki. Oboje uczciwe państwo, a pani jeszcze lepsza. Bo czy chory, czy ubogi to się do niej prędzej zapędzi, a jak może, to ludzi ratuje, a dzieciom do szkoły na egzamin każdziutkiego roku to nakupi książek, obrazków i rozmaitych podarunków z przyodziewy, bo dzieci strasznie lubi.

Kiedy tak, to ci państwo pewno się tutaj nie skarżą na lud, rzekłem dalej, tu im już pewno nikt żadnej krzywdy nie robi? Keń ta nie robi, chyba jak nie może. Juści są ludzie rozmaici, ale i psotników jest nie mało.

Byłem ja w świecie nie w jednem miejscu, ale nie zdarzyło się mi słyszeć, żeby gdzie dziedzic tyle dobrego robił dla ludu, jak tu u was, gdzie kościółek, księdza, szkołę i lekarza dwór własnym kosztem utrzymuje, a pani jeszcze dzieci nagradza podarunkami, gdy się dobrze uczą. Trudno o takich dobrodziejów w naszych czasach, dla tego tem bardziej powinien tu u was lud Panu Bogu dziękować, że mu takich łaskawych dobrodziejów daje, a dobra takich państwa strzedz jako swego oka w głowie.

Filip B.., od Mielca.



## KRYTYK.

(Bajka.)

Mruczał niedźwiedź, że małpy brzydko tańcowały,
Ta robi krok szeroki, tamta znów za mały,
Ta prosta jak na rożnie, a tamta zgarbiona,
Ponura, tuli głowę pomiędzy ramiona,
Ta skacze, jak waryatka, a tamta utyka,
Nareszcie niecierpliwość już bierze krytyka:
Patrz na mnie jedna z drugą! byś się nauczyła,
Kiwa się, chce podskoczyć i pada baryła.
Małpy w śmiech; a co misiu, kto z nas tańczy lepiej?
Takto cudze ganimy, na swe wady ślepi.

Z. K.

# Z Brazylii.

Ks. M. Możejewski, który przed rokiem z Detroit wyjechał do Brazylii, opisuje tam opłakaną dolę polskich wychodźców w prowincyi Rio Grande do Sul, gdzie, jak wiadomo, nie dotarł ani Adolf Dygasiński, ani ks. Chełmicki. Podane przez czcigodnego ks. M. szczegóły, skreślone z rozrzewniającą prostotą i bijącą w oczy prawdą, stanowią ciekawy przyczynek do ogólnego zarysu niedoli, jaka trapi emigrantów polskich w Brazylii.

Opisawszy bogactwo ziemi i roślinności, ks. M. pisze co następuje: „Ale to wszystko ma odwrotną stronę. Owe olbrzymie urodzaje mają swych wrogów i niszczycieli. Małe zboże wyjadają mrówki, kukurydzę niszczą papugi, większe zboża niszczą kuropatwy, których tu jest trzy gatunki i kury dzikie, nie mówiąc już o mnóstwie płazów, wężów i żmij, nieraz olbrzymiej wielkości. Koty dzikie, mrówkojady, borsuki, małpy, dziki, sarny, indyki dzikie, jaszczury wielkości człowieka i podobne im, tylko straszniejsze, krokodyle przy wodach, pająki jadowite, wielkości dużego raka lub żaby, wszystko to czycha tu na pracę człowieka lub na niego samego i psotę mu wyrządza. A największym wrogiem kolonisty jest tu szarańcza, która jednej chwili zdolna

jest całą jego pracę zniszczyć, gdzie chmurą przejdzie. Przechodząc po koloniach, widziałem śliczne zboża, żyto i pszenicę wyższe nad głowę moją, kłosy równie wielkie, aż się serce radowało. Aż tu w kilka dni patrzę, tylko słoma sterczy, a kłosa literalnie ani jednego, wszystkie leżą na ziemi. Pytam, co się to stało? Szarańcza, odpowiada kolonista ze łzami, w pół godziny zrobiła to w nocy. Gdzie ją dostrzegą, a mają sporo naciętego drzewa, i zapalą, wtedy całym obłokiem szarańcza idzie w ogień, który przykrywa sobą i dusi, ale i sama ginie, aż woń się rozchodzi. Ale przekonali się i o tem koloniści, którzy sieli żyto i pszenicę w maju, że szarańcza w październiku to zjadła, ponieważ już było pół ziarnka, a którzy sieli w czerwcu lub lipcu, że na przechód szarańczy jeszcze zawiązku ziarnka nie było, to zostało nietknięte. Taż sama historya dzieje się i w Północnej Ameryce, na świeżych koloniach, lecz z przetrzebieniem lasów szarańcza i wszystko robactwo ginie. Tak i tu będzie; więc, jak powiedziałem, z czasem byt materyalny ten lud uzyska. Lecz wobec takiego upadku wiary, jak tu, gdzie lud nasz zewsząd otacza dzicz prawie pogańska, z bluźnierstwem i przekleństwem na ustach, ten lud bez swoich kapłanów długo nie wytrwa i zginie dla narodu!“

Obraz religijnego zdziczenia brazylijczyków jest doprawdy zdumiewający.

„Z początku, pisze ks. M., pozwolono mi odprawiać Mszę św. w rządowym składzie materyałów dla kolonii. Ale tu taka dzicz zaczęła się zbiegać, jak na bekowisko, i zachowywać się nietylko bez żadnej wiary i sumienia, ale bez najmniejszego wychowania i przyzwoitości: w czapkach, w towarzystwie psów, z cygarami w ustach, z głośnemi rozmowami, śmiechami i krzykami, bo tu jest to przyjętem nawet w miastach... Kto temu winien? Nie moja rzecz sądzić.

„Potem, w innych miejscach, jeszcze gorzej znalazłem. Jedni, żyjąc prawie dziko, nie mają żadnego wyobrażenia o Bogu i religii, i nie wiedzą, czem są; a drudzy wiedzą tylko tyle, że są katolikami, ale co to jest religia katolicka?—nie wiedzą, a nawet o pacierzu wyobrażenia nie mają. Kiedy przy chrzcie ich dzieci, w ich języku mówiłem, żeby zmówili „Wierzę w Boga i Ojcze nasz,“ to nikt ustami nie ruszył. Tyle tylko wiedzą, że powinni swe dzieci chrzcić. To też gdzie przybyłem, zwykle trzy razy tyle ich dzieci ochrzciłem, niż polskich, i to po 5 i 6 lat mających, co,zdaje się, jest dowodem, że tu tak dawno żaden ksiądz katolicki nie był. Księża przeważnie mieszkają w miastach, a na kolonii, nie słyszałem, żeby gdzie był kościół. Naturalnie, ksiądz go sam nie pobuduje, jeżeli lud tego nie żąda i funduszu dać nie chce.“

Ks. M., poruszony do głębi niedolą moralną otumanionych szalbierczemi obietnicami agentów brazylijskich biedaków, wybrał się w iście apostolską pielgrzymkę po koloniach, z której w następujący, do głębi wzruszający sposób, zdaje sprawę:

„Ja mniejsze podróże tu odbyłem, bo kilkanaście mil, z kolonii na kolonię, co w porównaniu do setek, mało znaczy. A jednak kilka razy spuściłem się tylko na wolę Bożą i byłem pewny, że życiem przypłacę. Po 60 latach uczyć się konno jeździć, zwłaszcza po skałach i przepaściach, brnąć przez nieznaną głębokość wody, na koniu, pieszo lub na barkach przewodnika, lub gdy cały dzień deszcz leje, a trzeba ciągle iść i przez wody brnąć, bo trudno wśród puszczy pomiędzy zwierzętami nocować, to wszystko już nie na ten wiek i zdrowie; jednak nadspodziewanie Bóg dobry wspiera siły moje i trudy wynagradza. Gdy się patrzy na radość naszego ludu, na łzy ich szczęścia z mego przybycia i na tulenie się pod skrzydła wiary w spełnianiu powinności Bożych, wtedy zapomina się o wszystkich przebytych trudach. A ile pociech doznałem, chodząc do chorych. Tu i konno jechać nie można, bo jeszcze dróg nie ma. A wyobrazić sobie ten tylko może dziewicze lasy Brazylii, kto je zna. Nietylko człowiek do lasu wejść, ale literalnie ani ręki w zbitą gąszcz wetknąć nie może. Ścieżyną tylko naprędce przeciętą, milę lub dwie, po górach, skałach i przepaściach — podróż do chorego. Na górę wdrapać się ciężko, a z góry jeszcze gorzej, bo w przepaści z pewnością płynie bystry strumień, przez który nieraz z trudnością można się przedostać i znowu pod górę. Ale świta małe pólko wyrąbane i wypalone i chatka — to kolonia polska. Gospodarz pracujący widząc uznojonego kapłana w komży, zdejmuje czapkę, klęka i żegna się i jego żona i dzieci przed chatą toż samo czynią. Ta rodzina rozdziela się, jedna część zostaje przy domu, a druga towarzyszy kapłanowi. I tak dalej i dalej, wśród gęstej puszczy błyskają pólka, których pracownicy oddają cześć Bogu w Sakramencie utajonemu i towarzyszą, o ile mogą. Wreszcie, na przodzie wśród puszczy rozlegają się melodye ślicznych znanych tonów, bo towarzyszący naprzód wysłali z zawiadomieniem, że już Pan Jezus z kapłanem się zbliża, więc tam zebrana i oczekująca gromadka klęczy ze świecami i nuci: „Niech będzie pochwalony Przenajświętszy Sakrament,“ „U drzwi Twoich stoję Panie,“ „Twoja cześć chwała.“ W Brazylii nietylko jest to nadzwyczajną nowiną, ale cudem, co u Polaków jest tylko religijnym obowiązkiem!

„W tym punkcie na koloniach bliżej siebie leżących, „Serro negro,“ „Maria pimantel“ i „Baron triumph,“ zrobiłem wszystko dla swego ludu, co mogłem. Na „Serro negro“, gdzie punkt oparcia miałem, odprawiłem październikowe nabożeństwo; co wieczór, na Różaniec i do Spowiedzi, lud się schodził, choć tu październik właściwie jest majem, gdyż teraz w listopadzie lato na dobre się rozpoczyna. I radbym tu pozostał, ale kilkanaście mil po drugiej stronie Porto Alegre leży kolonia „San Feliciano“, gdzie jest około 800 rodzin polskich i skąd trzech delegatów przybyło do mnie z prośbą, abym do nich przybył: jak byli bowiem u spowiedzi w kraju, a niektórzy w Bremie, już przeszło rok, jeszcze tak pozostają, dziatki do chrztu czekają, umarli choć na poświęcenie grobów, młodzi i wdowy na śluby i t. p. Więc wybieram się do nich, z boleścią tutejszych.“

Wreszcie ks. M. opowieść swoją kończy następującem wezwaniem: „Ach, kapłanów więcej, kapłanów! Źle ten lud zrobił, że tysiącami opuścił kraj, ale nam się nie godzi opuszczać swoich, by zginęli. Chrystus Pan opuszcza 99 dobrych, a idzie za jednym błądzącym. A jego ukochany uczeń opuścił Efez i udał się za jednym błędnym. A tu wiele tysięcy i w dobrej wierze, bo oszukanych, wystawiło się na zgubę. W samej tej prowincyi Rio Grande jest wiele takich kolonij polskich, daleko od siebie leżących, a ja nie mogę wszystkich odwiedzić i zadość im czynić. Zresztą, dla mnie już grób niedaleki. Ale „fiat voluntas Dei, non recuso laborem.“

---

# WIEŚCI ZE ŚWIATA

Testament Kardynała Mermillod'a. Prassa francuska ogłasza obecnie ostatnią wolę zmarłego księcia Kościoła. Treść następująca.

„W Imię Trójcy Przenajświętszej, w Imię Ojca i Syna i Ducha świętego.

W Imię mego słodkiego Zbawiciela i Mistrza, Pana Naszego Jezusa Chrystusa.

Polecam duszę mą Bogu; jakkolwiek byłem bardzo niewierny łaskom Boga i niezliczonym dobrodziejstwom, któremi mię obsypywał, spodziewam się jednak otrzymać zbawienie przez miłosierdzie Boże, które granic nie zna, przez zasługi Jezusa Chrystusa, mego jedynego Odkupiciela i przez łaski Ducha świętego, poświęcające dusze ludzkie. Błagam o dobrą śmierć za potężną przyczyną Najświętszej, Niepokalanej Dziewicy, ucieczki grzeszników, Matki Jezusa i mojej Matki, przez modlitwy ś. Michała, świętych Archaniołów, ś. Józefa, ś. Jana Chrzciciela, z którymi łączyło mię tyle wypadków mego życia, ś. Franciszka z Assyżu i ś. Dominika, do trzeciej reguły których należałem na mocy zezwolenia Jego Świątobliwości Piusa IX; przez orędownictwo ś. Tomasza z Akwinu, ś. Franciszka Salezego, ś. Amadeusza, jako też wszystkich świętych biskupów Lozanny i Genewy; przez wstawiennictwo świętych męczenników Nereusza i Achillesa, ś. Petronelli i mego Anioła Stróża.

Przyjmuję z uległością wyrok śmierci, jako wyraz panowania Bożego nademną i jako expiację za me życie, będąc zrezygnowany na choroby i dolegliwości, łącząc je do zasług Męki i

Śmierci mego Zbawiciela i jedynego Pośrednika Jezusa Chrystusa.

Dziękuję Bogu, że mi pozwolił urodzić się i rość na łonie świętego Kościoła katolickiego, apostolskiego i rzymskiego, prawdziwej Oblubienicy i Kościoła Jezusa Chrystusa; błogosławię Bogu, że mię powołać raczył do obrony praw Namiestnika Jezusa Chrystusa na koncyljum Watykańskiem, że mi dał zaszczytną możność złożenia mego „placet“ dla Jego nieomylnego Nauczycielstwa; czuję najżywsze upokorzenie i najczulszą wdzięczność, żem został obrany, pomimo zupełnej mej niegodności, na kapłana, biskupa i kardynała świętego Kościoła. Są to dary hojne Opatrzności, która kierowała wszystkimi memi krokami. Gdybym był mógł użyć tych darów do nawrócenia dusz, do wprowadzenia mych drogich braci, pozostających w protestantyzmie, mej ukochanej ojczyzny — Genewy, do jedności z Kościołem Chrystusowym! Ale widocznie nie byłem godzien tej łaski, dobrzy kapłani genewscy dopełnią tego zadania z całą gorliwością i roztropnością.

Nigdy nie pragnąłem, tak przynajmniej sądzę, obrazić kogo lub upokorzyć; niech mi proszę przebaczą ci wszyscy, których dotknąłem czem, zmartwiłem lub zgorszyłem i niech się modlą za mą biedną duszę. Muszę przedewszystkiem wyrazić mą wdzięczność całemu duchowieństwu dawnej mej dyecezyi, a głównie kapłanom kantonu genewskiego, którzy woleli raczej znieść wszelkie ciosy bolesne a nie sprzeniewierzyli się swym obowiązkom; byli oni zawsze jednomyślni „tanquam acies bene ordinata“; dzięki też ich gorliwości i wytrwałości, w połączeniu z wytrwałością wiernych, życie katolickie w Szwajcaryi tak pięknie rozkwitło, pomimo stawianych mu niegdyś przeszkód.

Nie mogę zapomnieć przed Bogiem tych wspaniałomyślnych dobroczyńców, którzy, ze wszystkich stron, wspierali nas swemi modlitwami i jałmużnami w naszem bojowaniu i w naszem ubóstwie. Pomagali mi oni przedewszystkiem w spełnianiu podwójnego obowiązku miłości, który od lat najmłodszych przenikał całe me życie, był treścią mego bytu; miłości ku świetemu Kościołowi, Jego prawom i Jego boskiej missji; miłości ku mej drogiej Szwajcaryi, którą kochać gorąco począłem od pierwszych lat nauki szkolnej. Jeżeli kiedy, bezwiednie, zadrasnąłem przesądy mych współobywateli, niech w mych czynach zechcą upatrywać jedynie zaufanie do ich zdrowego rozumu praktycznego i do ich szlachetnych uczuć poszanowania dla naszej świętej wiary i praw naszych. Na widnokręgu spostrzegam już radosną jutrzenkę. Oby Bóg przyspieszył tę godzinę pokoju i pomyślności.

Opatrzność popierała me staranie o zapewnienie bytu instytucjom katolickim; zebrałem znaczne summy, które były użyte na te cele; ale ja sam umieram ubogim, nie zostawiam żadnego majątku.

Żałuję bardzo, że nie jestem w możności zostawić jakiej pamiątki tym wszystkim, którzy mi dawali dowody swej życzliwości, a przedewszystkiem kapłanom, którzy najwięcej mieli prawa do mego serca.

W Monthoux-Annemasse (Górna Sabaudja) d. 27 lipca R. P. 1891.“

Testament ten ma jeszcze następujący kodycyl:

„Pragnę, aby mój pogrzeb odbył się jak najskromniej, aby na mej trumnie nie było kwiatów, wieńców, aby słowem zastosowano się zupełnie do zasad świętej liturgiki.

„Nie wiem, gdzie mię Bóg do siebie powoła: jeżeli w Rzymie, proszę wielebnych OO. Kartuzów, aby mi nie odmówili gościnności w ich grobach na „Campo Verano“; jeżeli umrę w okolicach Genewy, pragnę aby mię pochowano albo w katakumbach w Monthoux, albo obok mych rodziców i krewnysh na cmentarzu w Carouge, pod zwykłym głazem.

Skromny napis, opiewający, czem byłem, obok zwięzłego epitafium: „Dilexit Ecclesiam“ wystarczy zupełnie; do tego można dodać westchnienie: „Requiem aeternam dona ei Domine.“

W Krakowie zmarł 7 marca Paweł Chościak Popiel, żołnierz z 1831 r., tajny radca dworu austryackiego, obywatel honorowy miasta Krakowa, poseł do Sejmu galicyjskiego. Zmarły był wielkim miłośnikiem Ojczyzny, prawym obywatelem, wzorem gorliwości i poświęcenia około sprawy publicznej a przedewszystkiem wiernym synem Kościoła. Działalność zmarłego okazała się w walce o niepodległość w 1831 r., na ławie rajców krakowskich, w powiecie i Sejmie galicyjskim. Jakkolwiek Paweł Popiel nie był mężem stanu, to przecież nie było żadnej ważniejszej sprawy publicznej,w którejby nie brał był czynnego udziału, lub nie wywierał na nią chociaż radą pośredniego wpływu. Dla przyszłych pokoleń zostawia zmarły bogatą spuściznę myśli i zasad, zostawia przykład wielkiego poświęcenia charakteru i gorącej miłości Ojczyzny. Cześć jego pamięci!

Rzym. (Nowy cud czcig. Sługi Bożego Gerarda Majelli). W tymże samym dniu i można powiedzieć o tejże samej godzinie, gdy w Rzymie odbywało się drugie i trzecie posiedzenie, roztrząsające cuda, zdziałane przez czcig. braciszka ze Zgrom. OO. Redemptorystów nazwiskiem Gerarda Majelli, uczynił tenże cudotwórca wśród synów św. Alfonsa cud nowy. Oto z polecenia p. t. Ojca jenerała odbywała się w d. 26 stycznia b. r. dla uproszenia szczęśliwego wyniku z wymienionego posiedzenia we wszystkich kościołach klasztornych 3 godzinna adoracya Najśw. Sakramentu. Właśnie w tym czasie weszła w Pagani pewna niewiasta do kościoła, której cała głowa i twarz okropnie zeszpecone były w skutek rozkładającej ciało zgnilizny. Z właściwą Neapolitańczykom śmiałą ufnością w Bogu zawołała ona w błagalnej modlitwie do czcig. Sługi Bożego w te słowa: „Jeżeli świętym jesteś, to pomóż mi i uzdrów mnie.” Wkrótce potem poczęła uczuwać szczególne swędzenie w miejscach chorych i w dniu tym została uleczoną. Dwóch lekarzy potwierdziło to nadnaturalne uzdrowienie. Na posiedzeniu w d. 26 styczuia odbytem potwierdzono przedłożone cuda, a dnia 25 marca ma być ogłoszony odnośny dekret. Beatyfikacya zaś, gdy już obecnie żadna przeszkoda nie zachodzi, ma być w roku 1893, przy okazyi jubileuszu papieskiego, przeprowadzoną.

Termin przyszłego Konsystorza nie jest jeszcze oznaczony. Sądzą jednak, iż Konsystorz odbędzie się już w najbliższym czasie, ale na nim zamianuje Papież kilku tylko nowych Biskupów. Natomiast Konsystorz, na którym nastąpi nominacya nowych Kardynałów, odbędzie się dopiero w czerwcu. Na tym Konsystorzu otrzymają purpurę: prymas Węgier ks. Vaszary, biskup wrocławski ks. Kopp, dwaj arcybiskupi francuzcy (jednym z nich ma być arcybiskup z Tours), jeden biskup hiszpański, jeden prałat angielski, dalej nuncyusze w Wiedniu i w Madrycie, oraz asesor św. inkwizycyi msgr. Cretoni.

Rokowania pomiędzy Rosyą a Stolicą św. przeciągają się znowu w nieskończoność. Chodzi w nich o nominacyę kandydata na stolicę biskupią w Żytomierzu. Stolica św. oczekuje ciągle odnośnych propozycyj ze strony Rosyi, lecz gabinet petersburgski nie spieszy się zbyt z ich przedłożeniem. Wobec tego wątpliwą jest rzeczą, czy nowy Biskup już na najbliższym Konsystorzu będzie prekonizowany. Przeciwnie, jak nas najautentyczniejsze wiadomości dochodzą, p. Izwolski tak długo nie będzie Stolicy św. żadnego kandydata na to biskupstwo przedstawiał, jak długo jenerał Ignatiew nie zniesie kościołów, które, obejmując jeneralne gubernatorstwo kijowskie znieść przyobiecał (1889 r.).

Czasopisma niektóre głosiły ostatnimi czasy, jakoby Ojciec św. zamianował ks. Prałata Wł. Zaleskiego Arcybiskupem. Wiadomość ta, jak dowiadujemy się, jest przedwczesną.

Z Petersburga donoszą o zatonięciu na Morzu Czarnem parowca, i 200 pasażerów. Wypadek ten przypisują przeładowaniu statku nadzwyczajną ilością bawełny.

# KARTKI DLA NAUKI.

## Para wodna i opady atmosferyczne.

(Dokończenie.)

W chmurze, którą oziębiają coraz bardziej zimne wiatry, łączą się pęcherzyki wodne w większe kropelki, nie mogące się już w górze utrzymać. Spadają one wtedy i ochładzają po drodze zawartą w dolnych warstwach powietrza parę, która też osiada na nich, tak że nim spadną na ziemię, znacznie się powiększają. Jak zowiemy te spadające krople?



PŁATKI ŚNIEGU.
(U góry w lewo w wielkości rzeczywistej, reszta powiększona.

Jeżeli wiatr jest tak chłodny, że oziębi chmurę poniżej zera, zamarzają pęcherzyki wodne w drobniutkie, przeróżnych a prześlicznych kształtów kryształy i jako śnieg spadają na ziemię. Po drodze łączą się z innymi, mianowicie, jeżeli powietrze na dole jest wilgotne i tworzą duże płatki czyli kiście śnieżne.

W gorące dni letnie grzeje słońce tak silnie, że wszelka wilgoć na ziemi ulatnia się i jako para napełnia powietrze. Gdy nalejemy wtenczas zimnej wody do szklanki, osiędzie wnet na niej rosa. Woda oziębiła szklankę, oziębiła także parę, która znajduje się w powietrzu otaczającem, a ta oziębiona para osiadła potem, zamieniwszy się w mgłę, jako rosa na szkle.

Zupełnie tak samo dzieje się na łąkach, w lasach, wogóle wszędzie, gdzie rosa osiada.

Po zachodzie słońca, które przez cały dzień swoim skwarem paliło i bardzo dużo wytworzyło pary, promienieją trawy, drzewa, wogóle wszystkie ogrzane przedmioty, swe ciepło i przez to coraz bardziej oziębiają się. Wówczas ochładza się także para, która je otacza i osiada na nich niebawem jako rosa. Na przedmiotach, które się więcej oziębiają, n. p. na trawach, liściach drzew, tworzy się znacznie więcej rosy, niż na kamieniach i przedmiotach gładkich.

Im cieplejsze jest wieczorem powietrze, tem mniej pary zamienia się w rosę. Zauważyliście nieraz, że w lecie jasne noce są daleko chłodniejsze, niż chmurne. Chmury zatrzymują ciepło, które ziemia wypromienia; para nie oziębia się wtedy dostatecznie i dlatego w pochmurne noce wcale nic, lub tylko bardzo mało tworzy się rosy. Powiadają wtenczas gospodarze, że będzie deszcz, bo też można się go spodziewać, kiedy dużo pary zostało w powietrzu; po obfitej rosie, kiedy jej wiele ubyło z powietrza, bywa zwykle nazajutrz pogoda.

Jeśli po zachodzie słońca powstaje wiatr, nie utworzy się rosa. Pochodzi to stąd, że wiatr przynosi ciepłe, suche powietrze, które nie dozwala parze dostatecznie oziębić się i zgęścić.

Tak więc nie spada rosa, jak zwykle mówią, niby drobny deszcz, lecz tworzy się naokoło przedmiotów oziębionych i osiada na nich tak dobrze z góry, jak z dołu i z boków; do utworzenia jej potrzeba tylko spokojnych a pogodnych nocy.

W późniejszej jesieni, kiedy noce są znacznie chłodniejsze, zmniejsza się ciepłota powietrza poniżej zera. Rosa, która się utworzyła z wieczora, zamarza w drobniutkie, białe kryształki i jako drobny śnieg okrywa liście i trawy Taką zmarzniętą rosę nazywają szronem.

## DO RYCIN.

Niedziela Palmowa.—Wjazd tryumfalny Pana Jezusa do Jerozolimy.—Rysunek Dorego (str.pierwsza.)

Książęta, arcykapłani, piśmienni żydowscy, słowem cała sekta faryzeuszów, z małymi wyjątkami, w zaciętości i grzesznem zaślepieniu postanowiła zgładzić Zbawiciela.

Nauka Syna Bożego, cuda, które czynił krótko przed męką swoją, jak przywrócenie wzroku ślepo-narodzonemu, wskrzeszenie Łazarza w Betanii tuż przy Jerozolimie, wszystko to nie otworzyło oczu niewiernym sługom Jerozolimskiej świątyni.

Wydali wyrok, iż każdy wierzący w Jezusa, uważan będzie za wykluczonego z ich bóżnic.

Po ludzku mówiąc, w tem groźnem położeniu postanowił Pan Jezus okazać potęgę i panowanie swoje—i jako Bóg postanowił tryumfalnie wjechać do świątyni w mieście Jeruzalem.—Wsiada więc Zbawiciel w pobliżu Jerozolimy na osiołka i zdąża do miasta.—Na widok Jego świętej Osoby ogromny zapał ogarnia lud cały; prowadząc Go w uroczystej procesyi, łamią gałęzie z drzew palmowych i oliwnych, rzucają pod nogi i wyśpiewują radośnie: Hosanna Synowi Dawidowemu! Błogosławiony, który idzie w imię Pańskie!

Kościół tryumfalny ten wjazd Syna Bożego uroczyście obchodzi w niedzielę, którą nazywamy Palmową czyli Kwietnią.

Kto idzie z Jezusem i trzyma się drogi przez Niego wskazanej, ten z Nim będzie tryumfował.

Rycina p. Stone na str. 378 przedstawia szczęście rodzinne. Familia, złożona z trzech osób, przy wspólnem śniadaniu otacza stół zastawiony skromnym posiłkiem. Synek, już podrastający, coś robi z parą, wychodzącą z imbryka; siła jej odpycha lekko przytkniętą łyżeczkę, młody więc wynalazca wpada na pomysł użycia pary jako motoru i próbując raz jeszcze, pokazuje to swoim rodzicom. Ojciec i matka z zajęciem pilnie przypatrują się temu. Wyraz zadowolenia pięknie na twarzach im się maluje; może właśnie w tej chwili marzą o szczęśliwej syna przyszłości.

Ileż to nasi rodzice spodziewać się mogą pociech z dzieci swoich, jeżeli im dadzą religijne i naukowe wykształcenie gruntowne.

Treść obrazu p. Sis na str. 379 jest następująca:

Śród kurcząt wylęgła się i kaczka; przypadkiem raniona, wziętą została na opatrunek i odłączona od swych mniemanych siostrzyczek. Po obwiązaniu rany dobrzy ludzie wypuścili ją na świat Boży, gdzie przecie rozpoznaje ona tywarzyszki swoje i wraca do kurcząt jak do ,,swoich.''

# Z KRAINY ŚMIECHU.

Groźba żebraka. Pewnego razu przyszedł włóczęga do dworku i tak między innemi mówił:

— Powodzi mi się bardzo źle; jeśli mi państwo nie dacie wsparcia, natenczas zrobię, czego w życiu mojem nigdy nie zrobiłem.

Przestraszona gospodyni, w obawie żeby nie podpalił jej budynków, lub nie targnął się na własne swoje życie, hojnie opatrzyła żebraka, a gdy już odchodził, zapytała go:

— Powiedz mi, co byś był zrobił, gdybym ci była nic nie dała?

— Wziąłbym się był do roboty — odpowiedział włóczęga.

* * *

Odwet. Terminator stolarski przybywszy do straganu wybierał bułki i tak się do przekupki odezwał:

— Dzisiaj te bułki są bardzo małe!

— Tem lepiej, bo lżej będziesz miał nieść — odrzekła przekupka.

Chłopak wziął kilka bułek zapłacił i odszedł czemprędzej.

— Hej! synku! poczekaj, czegoś tu nie dopłaciłeś! woła przekupka.

— Tem lepiej; łatwiej wam będzie rachować! — odrzekł ze śmiechem chłopiec.

* * *

# ROZMAITOŚCI.

## Silva rerum.

(ze starych ksiąg i rękopisów.)

Ludzie starzy zazwyczaj lubią słuchać opowiadań o długoletności i rozmnożeniu rodziny. Lubo zbieracz ,,Silva-rerów'' nie jest jeszcze w tem położeniu, mimo to z przyjemnością wyczytał z kartki wklejonej do starego kalendarza (bez kart początkowych, ale z rokiem 1687, wydrukowanym na końcu) opis łaciński licznego zebrania się rodziny mieszczanina lubelskiego z przed 200 laty. Wartoby go posłać w przekładzie Francuzom, biadającym nad fatalną statystyką populacyjną. Zanim to nastąpi, podaję przekład polski:

,,W Lublinie, w trzecim domu od Jezuickiego Kollegium, mieszka pan Jerzy Michałowicz z rodziców ormiańskich, prowadzący handel winem i mający teraz lat 88. Nie miał on z trzech swych żon żadnego syna, lecz ma zostających przy życiu 13 córek. Wszystkie powydawał dobrze za mąż; mieszkają w Lublinie, we Lwowie, w Krakowie, w Samborze i Sandomierzu. Z tych córek doczekał się wielu wnuków i wnuczek, a dwie wnuczki mają już dziatki. Pan Jerzy, czując się być już osłabionym, żądał widzieć razem wszystkie swoje potomstwo i zaprosił je na swoje imieniny. Wielkiem było zdziwienie, gdy się zgromadziło całe potomstwo. Pan Jerzy postanowił ze wszystkimi swymi potomkami zjeść obiad; musiano więc przebić ścianę do sąsiedniej kamienicy i ustawiono tak długi stół przez ciąg pięciu izb, aby wszyscy przy nim zasiedli. Jakoż zasiedli zięciowie, córki, wnucy, wnuczki i prawnuczęta, a najmłodsze z mamkami albo z piastunkami, tak że siedziało z tegoż potomstwa 188 osób. Pan Jerzy płakał z radości, siedząc w pośrodku jak patryarcha. Spełnił on za zdrowie swych potomków puhar napełniony winem jeszcze zostawionem od dziadka. Puhar ten przechodził z ręki do ręki; zięciowie i starsi wnucy spełniali go duszkiem, córki i starsze wnuczki napiły się cokolwiek, a malcom dano tylko pokosztować. Po obiedzie pan Jerzy wezwał całe potomstwo, aby go otoczyło; wszyscy upadli do nóg jego, a starzec, odmówiwszy modlitwy, po trzykroć wszystkich pobłogosławił i każde z osobna w głowę całował. Król Jegomość (Jan III), dowiedziawszy się o tej uczcie, przywołał do swego dworu jako pacholików dwóch wnuków pana Jerzego''.


HURRAH!! HURRAH!!

Jeżeli chcecie mieć meble ręcznej roboty to idźcie do

**HERMANA BOCK**

**Szafy od 6 do 15 dol.**

**Biurka** z lustrami od **7.50** do **20 dol.**

ŁÓŻKA, SOFY i inne przedmioty do umeblowania służące, po cenach najniższych.

716 Gratiot Ave. } DETROIT, MICH.
i 199 Leland Str. }

**Dobry interes.**

Wielka posiadłość dla młodego człowieka, który chce rozpocząć jakie przedsiębiorstwo. Ta własność składa się ze sztoru na farmach — ma także pocztę przynoszącą 160 dollarów rocznie.

Cena przystępna; wypłaty mogą być częściami, albo na wymianę za własność w Detroit.

Dowiedzieć się można u Jana Wagnera, 734 St. Aubin Ave. Detroit, Mich.

**F. RAMM.**

Sprowadza i ma na składzie instrumenta muzyczne, nuty etc.

Skrzypce, Akordeony, Gitary etc. po bardzo tanich cenach.

Towary norymbergskie, Albumy etc. we wielkim wyborze.

**182 Gratiot Ave.** Detroit, Mich.

Niedawno przybyła z Europy

AKUSZERKA

PELAGIA WAGNER,

mieszka pod No.

**268 CANFIELD AVE.**

**Detroit, - - - Mich.**

**AUGUST G. SCHWEIZER,**

Piekarnia i cukiernia,

Chleb i ciasta.

Przyjmuje obstalunki na wesela i zabawy.

Chene róg Canfield Ave. **Detroit, Mich.**

POLSKI KRAWIEC
**JAN J. POTICHKE.**
utrzymuje wielki skład sukna
NAJNOWSZEJ MODY.
**Wykonywa ubrania dla księży i kleryków.**
Zajmuje się wogóle wszelką inną pracą a wszystko po najtańszych cenach. Przyjdźcie a przekonacie się.
652 Michigan Ave. - - - - - - Detroit, Mich.

**JAN DIESING,**
**Fabryka i skład MEBLI.**
Wyroby tapicerskie.
**Najtaniej** w mieście — przyjdźcie i **przekonajcie się.**
**578 Gratiot** Ave. — — — — Detroit, **Mich.**

PIERWSZA POLSKA APTEKA
**DRA. W. K. KWIECINSKIEGO.**
**Róg ulic Benton i Rivard.**
Detroit, Mich.

**A. Posselius,** G. C. Cordes, J. W. Betzing.
# POSSELIUS & CO.
MEBLE.
**Dywany, pościel, wózki dziecinne i. t. d.**
414 — 418 Gratiot Avenue.
**Detroit,** **Mich.**

# OJCZE NASZ
**DRAMAT** W JEDNYM AKCIE FR. COPPEE.
PRZEZ
**Ks. Dra. M. BARABASZA.**
VICE-REKTORA SEMINARYUM POLSKIEGO
W DETROIT.
**Cena 15 centów.**

Książeczka ta — wydana na pięknym, welinowym papierze, — jest obrazkiem siostry, która po zamordowaniu jedynego jej brata, Ks. Jana Morela, najprzód rozpacza straszliwie i w szale bluźni niebu, a po rozmowie z sędziwym Proboszczem uspokaja się i wkońcu, jako Chrześcijanka, mówiąc: „**odpuść** nam nasze winy"—ocala jeszcze od śmierci niegodziwego mordercę.

Wszystko to opisane jest wierszem — w formie rozmów między osobami: Różą, Proboszczem, Zuzanną, Blanką, Jakóbem Leroux i Oficerem z Wersalu.

Ktoby chciał nabyć to ciekawe dziełko niech napisze do Redakcyi „Niedzieli" i przyśle dokładny swój adres. Zamiast pieniędzy może w liście załączyc znaczków pocztowych [post stamps] za 15 cent.

**EUG. LALLEMENT.**
**Krawiec francuski.**
POLECA SIĘ WZGLĘDOM SZANOWNEJ PUBLICZNOŚCI.
Ma on zawsze na składzie doborowe Materyały sprowadzone z Europy. Wykonuje ubiory według najnowszej źurnali otrzymywanych co miesiąc.
15 Fort Str, West. Detroit, Mich.

**W DRUKARNI PRZY SEMINARYUM POLSKIEM**
wykonywamy wszelkie prace drukarskie.
DRUKUJEMY: KSIĄŻKI, KONSTYTUCYE, AFISZE, BILETY, OBRAZY i t. d.
mamy dobór czcionek, ozdób, obrazków, własną prasę parową, zdolnych robotników,
CENA PRZYSTĘPNA
**DOCHÓD NA SEMINARYUM POLSKIE.**

**CHILINSKI & BARAŃSKI**
KRAWCY
Skład ubiorów męzkich i dziecinnych — wszelkiej bielizny, kapelusze i t. d. po najtańszych cenach.
Jako doświadczeni krawcy uskuteczniają wszelkie roboty trwało i gustownie.
Przyjmują obstalunki i z innych miejsc na listowne żądanie i za przesłaniem miary.
**812 St. Aubin Ave.**
Detroit, Mich.

BRACIA ZIMMER,
SKŁAD TOWARÓW ŁOKCIOWYCH KRAJOWYCH I ZAGRANICZNYCH.
735 i 737 Gratiot Ave. cor. Chene st.

WALENTY GEIST, KAROL GEIST.
**W. Geist i Syn,**
KARAWANIARZE.
**Balsamują ciała.**
Telefon 637. 51 Monroe Ave.
Detroit, Mich.

J. C. SCHENK.
Skład towarów żelaznych — Naczynia domowe — Blacha — Żelazo — Miedź. Wszystko po najtańszych cenach. Przyjdźcie do nas a zaoszczędzicie sobie pieniędzy.
176 Randolph róg Champlain ulicy.
**Detroit,** - **Mich.**